

CORNELL
WOOLRICH



SAGA

EGMONT

ZE STRACHU

CORNELL
WOOLRICH



 SAGA
EGMONT

ZE STRACHU

Cornell Woolrich

Ze strachu

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Saga

Ze strachu

Tłumaczenie Violetta Dobosz

Tytuł oryginału *Fright*

Język oryginału angielski

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1950 by Cornell Woolrich as George Hopley

Copyright © 1977 by JPMorgan Chase Bank, N.A. as Trustee of the
Claire Woolrich Memorial

Scholarship Fund u/w of Cornell Woolrich

Copyright © 2022 by JPMorgan Chase Bank, N.A. as Trustee of the
Claire

Woolrich Memorial Scholarship Fund u/w of Cornell Woolrich

Copyright © 2012, 2022 Cornell Woolrich i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728125250

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa
medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera
dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

*Nie powie ci już ni Bóg, ni człek,
Co czynić trzeba, ni jak, ni gdzie...
Kryjówki nie znajdziesz, więc po cóż biec
Przed sobą i tak uciec nie da się.*

Sara Henderson Hay

I

Nowy Jork

1

Tamtego, 1915 roku skończył dwadzieścia pięć lat, a nazywał się Prescott Marshall. Mieszkał w Nowym Jorku już od trzech lat, a od roku znał Marjorie Worth. I przez większą część tego właśnie roku ją kochał. Pracował w biurze maklerskim przy Wall Street pod numerem drugim i nie zarabiał wiele. Ale był młody, dobrze się prezentował i posiadał pewien niezaprzeczalny urok, który przyciągał zamożne starsze panie będące klientkami jego firmy, a który w swoim czasie miał stracić. Urok ten stanowił właśnie fakt, że póki co niewiele zarabiał.

Zdobył tę posadę za sprawą pewnej dziewczyny, którą poznał podczas pierwszego swojego roku w Nowym Jorku. Powiedziała mu o otwarciu firmy, powiedziała, z kim ma się spotkać, sama porozmawiała z tymi, z którymi miał się spotkać, jeszcze przed nim. Znikła już z jego życia, posada jednak pozostała. Co uznać można za pouczający komentarz na temat trwałości fizycznej fascynacji w porównaniu z trwałością pragnienia awansu społecznego.

Ów pierwszy punkt zaczepienia, pierwszy szczebel, który zajął i którego tak bojaźliwie się trzymał, miał rozrosnąć się z biegiem lat, rozbudować, miał stać się pomostem do bezpieczeństwa i podwaliną jego sukcesu. Jednak by to osiągnąć, potrzebował jej pomocy — pomocy Marjorie. Ponieważ miała mu przynieść wszystko to, czego

najbardziej potrzebował, obrawszy dla siebie tę szczególną, nie każdemu pisaną karierę. Miała pieniądze, a pieniądź przyciąga pieniądź; posiadała znakomitą pozycję towarzyską, a pozycja towarzyska daje pewność siebie; miała przyjaciół, którzy posiadali pieniądze i pozycję towarzyską, a będąc jej przyjaciółmi, mieli z biegiem czasu zostać jego klientami; będąc zaś jego klientami, mieli przyciągnąć własnych przyjaciół. Tak oto sprawa miała zataczać coraz szersze kręgi, przynosząc mu coraz większe korzyści.

Zamierzał zatem poprosić ją o rękę. I czekał z tym, dopóki nie zyskał pewności, że się zgodzi, bo nie był ryzykantem. Nie stawiał na ryzyko, gdy w grę wchodziła jego przyszłość, nie zamierzał zaprzepaścić swoich szans, kręcąc kołem fortuny przedwcześnie.

Był gotów, lecz chciał, by i ona była gotowa, dlatego czekał. Obstawiał tylko pewne zakłady.

To jej uroda zwróciła jego uwagę na samym początku, gdy w porze podwieczorku tańczyła w Plaza tango w długiej spódnicy z rozcięciem, i to uroda owa kazała mu zapytać, kim jest ta dziewczyna, i kazała mu ponaglić: „Zaprowadź mnie do niej, muszę ją poznać”. Urody jej nie brakowało. Wystarczyło jej na to pierwsze spotkanie i kilka przypadkowych później. Była wyjątkowo śliczną brunetką, wysoką, pełną wdzięku. Moda tamtego roku też była urocza, jak dla niej stworzona — końca niemal dobiegał czas, gdy panie ubierały się jak damy. Szybko przekonał się, że była tym, co kolejne pokolenia określiły mianem „chodzącej reklamy”. Jej obecność zwiększała prestiż. Dobrze chodziło się z nią pod rękę. Ludzie się za nią oglądali, a gdy już się obejrzel, u jej boku widzieli właśnie jego. Chłopiec z małej wioski w New Hampshire wyruszał na podbój wielkiego miasta.

Z czasem, gdy pęd, który przyniósł go aż w to miejsce, mógł zacząć słabnąć, spadła na niego świadomość bogactwa i pozycji towarzyskiej jej rodziny, oślepiła go swoim blaskiem i poderwała znów do działania akurat w chwili, gdy miał już przysnąć i ją sobie odpuścić. Marjorie oznaczała bowiem Pieniądze, oznaczała Rodzinę.

Jego zainteresowanie jej osobą zdążyło tymczasem wzbudzić podobne zainteresowanie z jej strony. Przez cały czas pozostawała krok za nim, podążała jednak tą samą co on drogą.

Aż wreszcie przyszła jego jednostronna decyzja o ślubie. Teraz pozostały już tylko oświadczyzny.

2

W odpowiednim czasie posłał zapakowany w pudełko bukiet do sukienki, wianuszek fiołków z gardenią w środku. I bilety tkwiły w jego kieszeni. Mieli pójść na *Cieplej i słoneczniej* z Madge Kennedy w Eltinge. A bilety jak na tamte czasy wcale nie były tanie: dwa pięćdziesiąt za miejsce z przodu na parterze.

Siedział i czekał w bajecznym korytarzu biegnącym przez Waldorff-Astoria, łączącym Trzydziestą Czwartą Ulicę z Trzydziestą Trzecią, w „Pawim Zaułku”.

W tamtej dekadzie istniały w Nowym Jorku dwa miejsca, w których zgodnie z wymogami etykiety umawiano się na spotkania. Gdy chodziło o spotkanie z mężczyzną, należało udać się do baru Knickerbocker przy Czterdziestej Drugiej. Na spotkanie z damą wybierało się Pawi Zaułek.

— Telefon do pana Marshalla.

W pierwszej chwili, słysząc wywoływane nazwisko, nie skojarzył, że chodzi o niego. Nie przywykł do bycia wywoływanym w Waldorff-Astorii.

— Telefon do pana Prescottta Marshalla.

Usiadł prosto, kiwnął ręką i boy podszedł.

— Przy telefonie czeka dama, proszę pana. Pan pozwoli za mną.

Nie był pewien, czy coś im się za to należy. Zawahał się, lecz w końcu dał boyowi dziesięć centów. Owo wahanie wszystko jednak zepsuło. Boy podziękował mu, ale dość powściągliwie.

To była ona, oczywiście. Była w jego życiu jedyną damą.

— Press — rzekła — otrzymaliśmy właśnie bardzo złą wiadomość.

Choć nie płakała, w jej głosie pobrzmiewała łzawa nuta, melancholia, której nie słyszał nigdy wcześniej.

— Co takiego...? — wyrzucił z siebie, walcząc z natarczywością w głosie.

— Oboje nie żyją. Otrzymaliśmy właśnie wiadomość od konsula amerykańskiego w Queenstown. Telegram przyszedł jakieś piętnaście minut temu. Byłam już ubrana i gotowa do wyjścia. — Zamilkła na moment, po czym mówiła dalej. — Mamy oficjalne potwierdzenie. Ciała zostały znalezione i zidentyfikowane.

— Dobry Boże — sapnęła. — Twój wuj Ben i ciotka Nelly, oboje.

Lusitania. Jedyna siostra jej matki wraz z mężem była na pokładzie, gdy statek poszedł na dno o godzinie drugiej czasu Greenwich w poprzednie popołudnie, a cały świat wstrzymał oddech z przerażenia i niedowierzania.

Nie wiedział, co powiedzieć. Bo co można powiedzieć w takiej chwili, słysząc taką wiadomość? Zresztą nigdy nie radził sobie w kryzysowych sytuacjach. Ostatecznie to ona zaczęła mówić dalej.

— Nie mogę teraz zostawić mamy — stwierdziła żałośnie.
— Rozumiesz to, prawda, Press?

— Daj spokój — odrzekł. — Oczywiście, że rozumiem. Przekażesz mamie moje wyrazy najgłębszego współczucia?

— Dziękuję ci, Press — odparła z wdzięcznością. — Przekażę.

— Zadzwoń jutro.

Wyszedł z hotelu na Trzydziestą Czwartą Ulicę i ruszył na Herald Square, mijając czujne sowy z brązu siedzące na gzymsie należącej do Jamesa Gordona Bennetta redakcji *Heralda*, budynku w kształcie klina; ku jego rozczarowaniu cały wieczór znowu był wyłącznie do jego dyspozycji, zanim jeszcze dobrze się zaczął, i nie było nikogo, kto pomógłby mu go spędzić.

W wieku dwudziestu pięciu lat może to być nie tylko sporym uprzykrzeniem, ale i sytuacją wręcz niebezpieczną.

3

Był już porządnie pijany i upijał się coraz bardziej. Była to raczej kwestia przypadku niż celowego działania. Po prostu przekroczył nieopatrznie granicę, gdzie mógł jeszcze przestać, i nawet nie był tego świadomy.

Światła wirowały i wirowały niczym odkryty i wyolbrzymiony mechanizm we wnętrzu wysadzanego klejnotami zegarka. Chwilami zdawał się z nich sypać cały alfabet szalonych liter będących jak iskry, które tworzyły wokół napisy układające się pod najdziwniejszymi kątami na tle nieba. New Amsterdam — *Patrz, gdzie idziesz*; Liberty — *Narodziny narodu* — Mae Marsh; Geo. M. Cohen Theatre — *Reklama się opłaci*; Globe — Montgomery i Stone w *Chin Chin*; Shanley's Hippodrome — Strand...

Czasem były jak wiatraczki obracające się wokół jednobarwnego środka. Jasnoczerwonej wisienki manhattanu. Musiał patrzeć akurat prosto w swój kieliszek, gdy to się stało. Bo wpadł do manhattanu właśnie.

W życiu jeszcze nie był tak pijany.

Raptem znalazła się przy nim kobieta. Była z nim tylko kilka minut, a właściwie całą tę niekończącą się noc. Co rusz zmieniała tylko sukienki. A nawet włosy i twarz. Najpierw była w różowej. Nagle ukazała się w jasnozielonej. Jak gdyby przesunęła się barwna klisza na jupiterze, rzucając na nią inny odcień światła.

— Zmieniłaś sukienkę — oskarżył ją.

Interludium kolejnych skrzących wiatraczków, znów jak wyolbrzymiony mechanizm zegarka, migoczących i połyskujących, obracających się razem, choć w różnych kierunkach.

Tym razem była na żółto.

— Nie możesz zostać w jednej sukience? — poskarżył się kłótniwie.

Bary tej nocy były bardzo niesolidne. Wyglądały na mocne i stabilne, ale opierał się o nie za mocno albo coś. Podnosiły się w górę z jednej strony i zapadały kompletnie z drugiej. Czuł się, jakby próbował pić z szybującej w górę huśtawki.

Wiatraczki zaczęły blaknąć, nie były już tak kolorowe.

Bary ustąpiły miejsca chodnikowi, który stanął idealnie pionowo przed jego oczami jak podtykana pod nos linijka.

Czubki butów układały się we wzory na jego powierzchni. Czasami ustawiały się w półokręgu. Po chwili półokrąg pękał, a buty ruszały znowu w różne strony. Po jakimś czasie tworzył się nowy półokrąg, para przy parze, idealny łuk.

Z jednego z takich półkoli nagle wysunęły się naprzód dwa pantofle, stając nieśmiało tuż przy nim.

W tym momencie uległ rozdzieleniu. *Sam* szedł dalej, lecz pamięć jego pozostała w tamtym miejscu, dłużej mu już nie towarzyszyła...

Aż przyszła jednak ta pora, przyszedł ten wieczór. Pora na oświadczenia.

Zrównała się z nim. Nie było dłużej na co czekać. Co więcej, zwłoka mogła się obrócić przeciwko niemu. Należało pochwycić ją tam, gdzie była, na peryferiach miłości, i pociągnąć do samego jej centrum. Związać formalną obietnicą. Inaczej mogli natrafić na wsteczny prąd, który uniósłby ją i znowu od niego oddalił.

Nie da się ustać nieruchomo w miłości. To wartki nurt. I można albo dryfować w nim we dwoje, razem, albo odpływać w różnych kierunkach. Albo tak, albo owak. Nie istnieje coś takiego jak ustalona pozycja. I nie ma na tym podstępny morzu ratunkowych szalup.

I nastał wreszcie ten niezapomniany wieczór dla nich obojga, gdy „los każdego z nich” stał się nagle „ich wspólnym losem”; ta pamiętna data, ten zwrotny punkt, ta sobota w maju roku tysiąc dziewięćset piętnastego.

Ubrana była w satynę barwy bladego błękitu, błękitu tak bladego, że znaleźć go tylko można w głębokich pokładach lodu lub tam, gdzie księżycowa poświata muśnie polerowaną stal. Do pasa przypięła różowe róże, różowe róże od niego. I długo potem, gdy obejrzał się wstecz, pamiętał ją taką jak owego wieczoru. Tak jak mężczyzna pamiętać powinien.

Tak łatwo było ją kochać, tak łatwo było chcieć posiąść ją na własność. Gdyby nawet była biedna, gdyby jej rodzina nie posiadała takiej pozycji, to i tak pragnąłby jej takiej jak tego wieczoru. Była dla niego zbyt piękna, przyprawiała jego serce o miłosną niestrawność.

Przyszła pora antraktu, a oni wstali z miejsc i wyszli do foyer.

— Mam ci coś do powiedzenia — oznajmił. — I nie potrafię dłużej się z tym kryć. Próbowalem,

ale nie potrafię.

Uśmiechnęła się. Wiem, mówił ten uśmiech, rozumiem.

— I jeśli wrócimy na widownię, obawiam się, że powiem to tam, a wszyscy ludzie dokoła usłyszą każde moje słowo.

Skinęła głową. Wiem, mówiło skinienie, rozumiem.

— Wyjdziemy?

Nie musiała uśmiechać się ani kiwać głową; on wiedział, on rozumiał.

Nie wrócili już na swoje miejsca. Wsiedli do powozu przed teatrem i dali się uwieźć do miasta, a potem Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą do parku. Tam powoli sunęli aleją, mijając a to srebrzystą sadzawkę, a to kępę drzew w soczystej zieleni młodych liści zamykającą się na moment nad ich głowami, a to znów mrugający sznur bladozielonych lamp gazowych wzdłuż bocznej ścieżyny; i tylko leniwe kłok-kłok ich konia przerywało ciszę tej czarownej nocy. To tam ją pocałował. A ona pocałunek odwzajemniła. To tam powiedział jej to, co powiedzieć od dawna zamierzał.

— Marjorie, kocham cię. Czy zostaniesz moją żoną?

Te słowa, stare jak świat, słowa, które za każdym razem brzmią jak zupełna nowość. Słowa, tak krótkie w mowie, słowa, których znaczenie żyje tak długo.

— Tak — odrzekła po prostu. — Zostanę.

Podziękowały jej jego ramiona i usta.

— Będę dobrym mężem, Marjorie, do końca moich dni.

Tak po prostu. Tak nieodwołalnie.

Połączyli swe losy od tej chwili aż po grób.

5

Nazajutrz była niedziela.

Zawsze w niedzielę wypoczywał. Leniuchował, czytał gazety. Wieczorem miał iść do Marjorie na kolację. Ale to dopiero o ósmej.

Niespodziewanie około piątej, akurat gdy namydlił twarz, rozległo się stukanie do drzwi.

Nie był początkowo pewny, czy się nie przesłyszał. Uciszył szumiącą w kranie wodę i nasłuchiwał przez chwilę. Stukanie rozległo się znowu. Wytarł ręce, podszedł do drzwi, stanął i zawołał:

— Kto tam?

Odpowiedź nadeszła bez słów: ktoś zastukał znowu.

Posunięcie owo rozdrażniło go, co być może właśnie miało na celu. Otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z młodą kobietą, dziewczyną tak naprawdę, patrzącą na niego uporczywie z fałszywą skromnością.

Skulił się odrobinę za drzwiami i rzekł:

— Och, proszę wybaczyć.

W roku 1915 męski podkoszulek jeśli nawet nie szokował, to z pewnością stanowił powód do przeprosin płci przeciwnej.

Patrzyła na niego cały czas z tym dziecinny uporem; nie umiał znaleźć lepszego określenia na wyraz, który gościł na jej twarzy.

Była dosyć młoda; miała dwadzieścia dwa, najwyżej dwadzieścia cztery lata. Była dosyć ładna, choć raczej pospolita. Nie posiadała dożywotniej urody biorącej się z charakteru i dojrzewania, jaka cechowała Marjorie; jej piękno było ulotne, przydane jej przez młodość — i wraz z młodością któregoś dnia miało przeminąć. Była szczupła i niska; na oko ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt parę kilo. Ubrana była schludnie i z pewną młodzieńczą świeżością bez popadania w buńczuczność.

Nie przestawała wpatrywać się w niego z niewinnym pytaniem w oczach jak ktoś, kto nie ma najmniejszego doświadczenia z mężczyznami, zwłaszcza z tak bliska, i kogo wzrok zdawał się teraz mówić: „Ty przecież byś mnie nie skrzywdził, prawda?”

Wysupłał na twarz uśmiech, który miał jej dodać otuchy.
— Chyba pomyliła pani drzwi.

— Nie, to z panem chciałam się spotkać — odrzekła głosem słabym, niemal dziecięcym.

Zatkało go. — Ze mną? W jakiej sprawie? Na pewno?

Jej wargi ułożyły się w lekko nadąsany uśmieszek. — Nie pamięta mnie pan?

Popatrzył w osłupieniu. — Nie, ja... ja... — Jąkał się, usiłując ją umiejscowić i ponosząc przy tym sromotną porażkę. Jakaś zapomniana znajoma z jego stron rodzinnych?

— Widzę, że nie. Moja twarz zupełnie się panu nie przypomina?

Zrobiła krok naprzód. On zrobił krok w tył, by nie zetknąć się z nią podkoszulkiem i namydloną brodą. Zrobiła drugi krok naprzód. I już była w środku.

Lekko dotknęła dłonią drzwi, a te się zamknęły.

— To proszę bardzo — rzekła z figlarnym, marszczącym nos uśmiechem psotnego dziecka.

— Wydaje się pani, że powinna tak tutaj wchodzić? — zaprotestował.

— Już raz tutaj byłam — odparła, buntowniczo zadzierając brodę. Usiadła sztywno, starannie układając wokół nóg spódnicę i wydając zza pleców pozostawioną tam przez niego gazetę. — A *teraz* pan pamięta? — Wyciągnęła długą szpilkę i zdjęła kapelusz. — Może lepiej tak. — Musnęła pukiel włosów noszony nad każdym uchem i ucho całkowicie zakrywający.

Zaczekała chwilę. Efekt musiał być widoczny na jego twarzy.

— Widzę, że teraz pan sobie przypomina — rzekła. — Nie chciałam pana przestraszyć. Byłam pewna, że... Nie pamięta pan Leony Harris? Podałam panu nawet swoje nazwisko.

Teraz, gdy tylko je usłyszał, wszystko wróciło.

— Ja naprawdę nie... — zaczął niepewnie.

— Ale to jest moje prawdziwe nazwisko. Proszę zaczekać, pokażę. — Otworzyła torebkę z lakierowanej skóry, którą trzymała pod pachą.

Machnął ręką. — W porządku. Wierzę pani.

— Ostatecznie przecież sama pana tu przyprowadziłam.

— Powiedziała to od niechcienia, cały czas nie patrząc na niego, lecz w głąb torebki.

Poczuł, jak naciągają mu się policzki, jakby skurczyła się skóra po ich wewnętrznej stronie.

— Oj, nie — rzekł cicho — na pewno się pani nie myli?

— Ależ skąd — odparła z niewinną ufnością, patrząc teraz na niego niemal z wyrzutem. — Przecież pan wie. Nie znalazł pan nazajutrz moich spinek do włosów na toaletce? Nie znalazł pan gdzieś mojej szminki? Wiem, że musiałam je tutaj zostawić.

— Skąd pani wie, że znalazłem takie rzeczy? — spytał.

— Bo je tu zostawiłam. Musiał je pan znaleźć; jeśli nie pan, to kto?

— Zostawiła je pani specjalnie, żebym je...?

Zamilkł. Potarł jedną dłońią o drugą, jakby mu coś dokuczało, jakby coś go swędziało, na przykład. Wreszcie dotknął lepkiej twarzy.

— Wybacz pani na chwilę?

Poszedł do łazienki i szybko wytarł twarz w ręcznik. Założył koszulę, zapiął guziki i wetknął poły za pasek.

Gdy wyszedł, ona nadal siedziała, pogodna i spokojna. Nie patrząc na drzwi, za którymi zniknął. Trzymała teraz w dłoni papierosa. Smużka jedwabistego dymu snuła się w górę, przepoławiając jej twarz.

Spostrzegła jego zdumione spojrzenie.

— Muszę korzystać z każdej okazji, jaka się trafi — powiedziała przepraszającym tonem. — My, kobiety,

nie mamy tyle wolności co wy, panowie.

Podszedł, wybrał krawat i próbował go zawiązywać przed lustrem. Ręce nie bardzo chciały go słuchać; musiał zacząć wiązać od nowa.

— Cóż, miło mi było panią gościć — powiedział.

— Ja do nikogo nie żywię urazy — oświadczyła.

Wziął do ręki zegarek i spojrzał. — Już po szóstej — stwierdził.

Zaciągnęła się papierosem.

Od niechcenia przesunął grzebieniem po włosach. Wyjął z szafy marynarkę, strzepnął ją parę razy i założył. Znowu zaciągnęła się papierosem. Stał twarzą do niej, wsuwając do kieszonki na piersi czystą chusteczkę.

— Wybaczysz pani? Muszę wyjść.

— Nie.

Kategoryczność tego zaprzeczenia wstrząsnęła nim, wytrąciła go na moment z równowagi, kompletnie zbiła z tropu.

O to zapewne jej chodziło, dlatego wysiliła się na taki ton. Męczyzna zbity z tropu łatwiej daje się pokonać.

Stał i patrzył na nią dłuższą chwilę, zanim odzyskał mowę. A wtedy wypalił:

— Czego pani chce?

Uśmiechnęła się znowu z tą swoją fałszywą skromnością, niby wstydem.

— Cieszę się, że pan spytał. Liczyłam, że pan spyta. Czekałam.

— No więc spytałem.

Było coś przerażającego w jej nieznikającym uśmiechu, stwierdził Marshall. Zastanawiał się, co to takiego, lecz nie mógł na nic wpaść.

— No więc panu odpowiem — oświadczyła.

A jednak nie odpowiedziała.

Zapadła cisza, a on stał tylko i patrzył na nią z wyczekiwaniem. Niczego się nie doczekał, tamten uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Przyłapał się na tym, że ogarnia go niepokój, poczucie zagubienia. Ten uśmiech pozbawiał go pewności siebie. Najwyraźniej o to jej chodziło, skoro tak kurczowo się go trzymała.

— Naprawdę się pan nie domyśla? — spytała.

— Nie — odparł krótko.

— Chcę pieniędzy za tamtą noc.

Uśmiech wcale nie zniknął z jej twarzy, gdy to mówiła. Jedynie treść oświadczenia stała w zupełnej sprzeczności z życzliwością, spokojem i beztroską w jej zachowaniu, nic innego — ani ton głosu, ani wzrok czy wyraz twarzy, ani mowa ciała. Nie było tam ani napięcia, ani hardości, ani niczego podobnego; w głosie tylko dało się wyczuć niemal smutną śpiewność.

— Słucham?

Postanowiła potraktować to dosłownie, uznając raczej, że nie dosłyszał, nie zaś, że nie zrozumiał:

— Powiedziałam, że chcę pieniędzy za tamtą noc.

— A ja nie rozumiem, o co pani chodzi.

Przez cały czas miała na twarzy tamten uśmiech. Leniwy, kleisty, nie do starcia.

Uśmiech poskutkował wreszcie choćby tylko dlatego, że tkwił na jej twarzy tak długo. Chciała, żeby zrozumiał.

— Chodzi o tamtą noc w kawiarni?

— O to, co było po kawiarni. — Odczekała chwilę, po czym dodała: — Za kawiarnię rachunek jest uregulowany.

Wstrząs był doprawdy druzgoczący. Zupełnie, jakby ktoś chlusnął mu niespodziewanie w twarz wiadrem brudnej wody. Zupełnie, jakby zobaczył nagle robactwo wypełzające z oczodołów pięknej porcelanowej lalki.

Rozchylił wargi i cofnął się o krok.

Na krótką chwilę wściekłość i obrzydzenie przywróciły mu panowanie nad sobą i nad sytuacją. Choć tylko na tę krótką chwilę.

— Ach, ty bezczelna, mała...! Buźka niby taka niewinna, a wyskakujesz z czymś takim!

— To miło, że użyłeś tego słowa: niewinna — rozmyślała na głos.

— Ty mała kłamczucho! Wynoś się stąd! No już, wynoś się, zanim...!

Nawet nie drgnęła. Uśmiech tylko opuścił jej twarz, nic ponadto. Podniosła na niego wzrok z powagą dziecka stojącego w obliczu wzburzonej osoby dorosłej, nieświadomego nawet, o co chodzi, zadowolonego, że może ową burzę po prostu przeczekać.

— Wiesz, co to jest, prawda? Szantaż. Wiesz, że mógłbym kazać cię aresztować?

Ku jego zaskoczeniu skinęła głową. — Tak, wpadło mi to do głowy, zanim tutaj przyszłam. Mógłbyś.

Trochę go to zbiło z pantałyku; spodziewał się kontrzarzutów, nie przytakiwania.

— Kazałem ci się wynosić. No więc już, wynocha.

Pokręciła głową. — Nigdzie nie pójde. Będiesz musiał wziąć mnie na ręce i wynieść, jak chcesz, żebym poszła.

— Cóż, niech i tak będzie!

Ruszył w jej stronę z wyciągniętymi rękami, lecz stanął nagle jak wryty.

— Nie uważasz, że lepiej odbyć tę rozmowę tutaj, w twoim pokoju, zamiast wychodzić z nią na korytarz? Nie uważasz, że lepiej, by została między nami? — Wzruszyła ramionami. — Mnie tam wszystko jedno. Jak chcesz.

— Cóż, znam bardzo szybkie wyjście z tej sytuacji! — zawołał gniewnie. — Idę zadzwonić na policję.

Skinęła. — Proszę bardzo. Tu jest telefon.

Przekręcił go i podniósł słuchawkę. — Centrala? Poproszę z policją.

Założyła nogę na nogę. I nie zapomniała skromnie obciągnąć spódnicy. Obsunęła się nawet nieco w fotelu i rozsiadła wygodniej jak osoba, która spodziewa się, że nieprędko swe miejsce opuści. Otworzyła torebkę i zajrzała do środka, zapewne zerkając we wszyte tam lusterko, bo zobaczył, jak wytwornym ruchem poprawia włosy.

Uznając, że jej urodzie niczego nie brakuje, zamknęła torebkę. Jej wzrok zaczął błędzić leniwie po pokoju, jakby szukał czegoś dla zabicia czasu. Podobnie jak w poczekalni u lekarza u ludzi, którzy biorą do ręki i przeglądają czasopisma.

— To zdjęcie twojej narzeczonej, prawda?

Słuchawka oddaliła się o cal od jego warg i ucha. — Nawet tam nie patrz!

— Nazywa się Marjorie Worth.

Słuchawka oddaliła się o kolejny cal. — Przymknij się, mówię.

— Mieszka przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Wschodniej, numer dziewiętnaście.

Słuchawka opadła aż do pasa. Poczuł, jak wokół oczu napina mu się skóra, podobnie jak u kota kładącego uszy, gdy zostanie osaczony.

— Numer jej telefonu to Regent 1200 — mówiła cicho.

Wciągnięte powietrze zdawało się odbierać mu głos.

Podeszła i przyjrzała się zdjęciu. Machnęła ręką z papierosem. — No, dlaczego nie dzwonisz?

Nie odpowiadał.

— *Ona* przecież ci uwierzy — zapewniła go. — Musi. Jest z tobą zaręczona. Nie uwierzy *mnie*. Czy to cię trapi?

Wciąż nie odpowiadał, nawet się nie poruszył.

— Rzecz jasna będzie musiała się dowiedzieć — ciągnęła.
— To inna sprawa. Nie możesz domagać się aresztowania i oczekiwać, że... Czy *to* cię właśnie trapi?

Podniósł znowu słuchawkę, na moment znieruchomiał. Wreszcie powiedział: — Centrala? Przepraszam. Proszę nie łączyć. — I odłożył słuchawkę na widelki.

— Zdaje się, że sam nie wiesz, czego chcesz. Najpierw to, potem tamto.

Podszedł do niej powoli. Staął nad nią. Wreszcie jedną rękę położył na oparciu fotela, na którym siedziała.

— Jeszcze nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety, ale jeśli nie wstaniesz z tego fotela i nie skierujesz się do drzwi...

Nie skuliła się nawet ani nie odwróciła głowy.

— Gdy kogoś uderzysz, rozlegają się krzyki, powstaje zamieszanie — cały dom się zleci i znowu znajdziemy się w punkcie wyjścia.

Podniosła na niego wzrok. Jej oczy nigdy się nie wahały, nawet nie mrugały. Były to oczy piękności zasłuchanej w prawione jej komplementy, wpatrzonej w adoratora siedzącego na kanapie na jakimś balu.

— Chcę tylko pięćdziesięciu dolarów — oznajmiła pogodnie.

— Chcesz tylko pięćdziesięciu dolarów. Cóż, w dalszym ciągu odpowiedź brzmi: wynoś się stąd.

Nagle, ku jego zaskoczeniu, kiedy najmniej się tego spodziewał, podniosła się posłusznie z fotela i stanęła przed nim.

— Dobrze, pójdę sobie. Prosiłam, ty odmówiłeś, więc nie pozostaje mi nic innego...

Ruszyła do drzwi.

— Przynajmniej *tutaj* — dokończyła cicho.

Otworzyła drzwi i wyszła za próg. Dopiero wtedy odwróciła się i obejrzała na niego znowu z uśmiechem —

uprzejmym, uśmiechem pożegnania. Zupełnie jakby dobiegła końca towarzyska wizyta, przyjemna, choć zupełnie nieistotna.

— Co to miało znaczyć? — spytał ostro, wciąż stojąc przy pustym już teraz fotelu, który zajmowała.

— Cóż, *skądś* muszę je zdobyć — wyjaśniła z rozbrajającą szczerością. — Do kompletnie obcej osoby przecież nie pójdę. A uwikłani w to jesteśmy tylko my troje. — Jej oczy pomknęły na moment do fotografii w głębi pokoju. Ruszyła ku schodom po drugiej stronie korytarza.

— Nie ośmielisz się! — krzyknął, czując, jak szok falami rozchodzi mu się po całym ciele, rodząc się głęboko w brzuchu, jakby ktoś go tam mocno uderzył.

Nie odpowiedziała.

— Wyrzucą cię prędzej, niż...!

Ze swego miejsca już jej nie widział.

— Ale nie prędzej, niż usłyszą o tym, co może dać im powód, by mnie wyrzucić — usłyszał jej odpowiedź.

Ruszył szybko w jej ślady. Dotarła już do schodów i miała właśnie ruszyć w dół.

— Myślisz, że ci w coś takiego uwierzy? — wychrypiał.

— Nie uwierzy. Nie spodziewam się tego. Ale o takich drobiazgach strasznie trudno zapomnieć, jak już się pojawią. Zostanie to z nią na zawsze. Zawsze gdzieś tam będzie siedziało. A ona zawsze będzie świadoma, że gdzieś to jest. I ty też.

Twarz mu pobieliała. — Co ci z tego przyjdzie?

— Nic. A co tobie z tego przyjdzie?

Podszedł do barierki i mocno się o nią oparł. Stała na trzecim stopniu od góry i schodziła pod jego nosem coraz niżej. Z każdym oddechem żołądek przyciskał mu się do poręczy.

— Po co niby dziewczyna miałaby opowiadać taką historię, gdyby nie była ona prawdziwa? — wzruszyła

ramionami. — Po co niby obca osoba miałaby jej szukać i zmyślać tak niestworzone rzeczy? Akurat o tobie, o nikim innym, tylko o tobie. Skąd taka obca osoba by o tobie wiedziała, skąd wiedziałaby, że taki ktoś jak ty w ogóle istnieje?

Była już w połowie schodów.

Wziął głęboki wdech, przechylił się nad poręczą.

— Wracaj tutaj, ty... — warknął cicho, zrezygnowany.

Wróciła w tak samo powolnym tempie, w jakim wcześniej odchodziła. Spokojnym krokiem wspięła się do góry, tak jak spokojnym krokiem przed chwilą szła w dół, i zbliżyła się do wejścia.

Wpuścił ją do pokoju i zamknął drzwi, żeby nikt ich nie mógł podsłuchać.

— Nie mam przy sobie tyle gotówki, ale...

— Wystarczy czek — wtrąciła się życzliwie.

— Skąd pomyśl, że...

— Masz konto w Banku Kolonialnym przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Zgromadziłeś na nim osiemset dolarów i siedemdziesiąt dwa centy.

Spojrzał na nią z urazą, ale i respektem. — Nie próżnowałaś.

— Obudziłam się tamtego ranka przed tobą. Nie miałam co robić. A skoro rzeczy leżą porozrzucane... — Machnęła lekko ręką w pełnym potępienia geście.

Przytknęła czubek palca do ust w kąciku, niby to się zastanawiając: — No, co tam jeszcze? Niech pomyślę. Pracujesz w biurze maklerskim o nazwie „Ritter, Pease i Elliott”. Prowadzisz rachunki klientów indywidualnych. Szefem twojego działu jest niejaki pan Bruce. *Im* także nie spodobałoby się pewnie, gdybym... Mam mówić dalej?

Nie musiała. Odetkał wieczne pióro i zdawało się, że pompuje spływający po stalówce atrament wprost

z własnej żyły, tej, która niczym błękitny sznur wystąpiła mu na środek czoła.

— Na...?

Uśmiechnęła się, widząc, że próbuje być sprytny. — Okaziciela.

Z wysoka rzucił wypełniony czek na stół, nie podając go jej do ręki. Zdawało się, że niemal samoistnie podfrunął i trafił do jej ręki, tak szybko go pochwyciła.

— A teraz wynoś się stąd! — rzucił gniewnie spod rozłożonej chusteczki, którą przytykał do czoła.

Jednak nawet ta skromna odprawa nie mogła podzielać kojąco na jego pokiereszowaną godność. Zdążył już bowiem zostać sam.

6

Drzwi jego domu otworzyły się na oścież i wparował do środka. Powracając właśnie do domu. Na dworze ulica tonęła w złocie zachodzącego słońca i coś z tej bezcennej substancji jakby na niego spłynęło, taki był jasny i promienny. Nie mógł już doczekać się przyjęcia, na które się tego wieczoru wybierali. Specjalnej kolacji wydanej na ich cześć, na cześć jego i jej. Na cześć narzeczonych, których w tych dniach tak hołubili wszyscy.

W euforycznym pośpiechu zdjął płaszcz już w pół krótkiej drogi od taksówki do drzwi i szedł z przewieszonym przez ramię tak, jakby niósł użyty po kąpieli ręcznik. Nie miał czasu, nie miał czasu na nic poza radością. Raz tylko było się młodym. Raz tylko było się zakochanym. A fetowanym tak było się tylko wtedy, gdy było się i młodym, i zakochanym. Musiał się wystroić — wyelegantować, jak to się wtedy mówiło — a potem pędzić znowu stąd do jej domu, żeby ją stamtąd zabrać. Stopnie umykały po cztery, po pięć naraz pod jego strzygącymi